

PINK FLOYD

tłumaczenie
Jakub Michalski

MARK BLAKE
PRĘDZEJ ŚWINIE
ZACZNAĆ LATAĆ

KRAKÓW 2012

SPIIS TREŚCI

1	A jednak świnie latają	7
2	Niekończące się lato	19
3	Dziwne hobby	74
4	Budzenie winorośli	140
5	Dystans między przyjaciółmi	187
6	Nowy wóz i kawior	233
7	Łatwa kasa	280
8	Czemu uciekasz?	338
9	Nieuleczalni tyrani i królowie	386
10	Trawa była bardziej zielona	445
11	Duchy zamiast bohaterów	504
	Postowie	526
	Podziękowania	530
	Wybrana bibliografia	533

ROZDZIAŁ PIERWSZY

A jednak świnie latają

„Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli zagrać podczas jakiegoś kolejnego Live Aid. Ale może po prostu jestem zbyt sentymentalny – my, podstarzali perkusiści, już tacy jesteśmy”.

Nick Mason

„Naprawdę mam nadzieję, że jeszcze zrobimy coś razem”.

Richard Wright

„Pewnie nie wytrzymalibyśmy nawet trzydziestu minut próby. Jeśli mam wyjść na scenę i grać z innymi, to chcę, żeby to byli ludzie, których kocham”.

Roger Waters

„Roger Waters ma zdaje się mój numer. Ale nie czuję potrzeby dyskusowania z nim o czymkolwiek”.

David Gilmour

Kiedy było już niemal pewne, że muzyka rockowa dawno straciła moc wywoływania szumu, powrót Pink Floyd zelektryzował opinię publiczną i zasiał panikę wśród władz. Jest 2 lipca 2005 roku, a zespół ma wystąpić podczas koncertu charytatywnego Live 8 w londyńskim Hyde Parku. Cała impreza trwa jednak już niemal godzinę dłużej, niż zakładano. W języku kontrkultury lat sześćdziesiątych, z której wywodzą się Pink Floyd, można by powiedzieć, że „Szef nie jest zadowolony”. Szefem jest w tym przypadku Tessa Jowell, minister kultury, mediów i sportu. Pani minister zwołała nadzwyczajne zebranie za kulisami i grozi, że przerwie koncert – jeśli dwieście tysięcy ludzi jednocześnie wyszłoby z terenu imprezy na ulice Londynu, ryzyko zamieszek byłoby zbyt wysokie.

David Gilmour, Richard Wright, Nick Mason i Roger Waters po raz ostatni popadli w konflikt z politykiem dobre dwadzieścia pięć lat wcześniej. Przyczyną był singiel *Another Brick in the Wall Part 2* ze śpiewanym przez dziecięcy chór szkolny z Londynu refrenem: „Nam nie trzeba edukacji”. Zbulwersowało to ówczesną premier Margaret Thatcher.

Krajobraz polityczny w 2005 roku wygląda diametralnie inaczej. Live 8 zostało zorganizowane, by zwrócić uwagę światowych liderów na problem biedy i dramatyczną sytuację krajów Trzeciego Świata. Koncert odbywa się tydzień przed szczytem G8. Los lubi być przewrotny – na wieść o występie Pink Floyd nikt inny jak... premier Wielkiej Brytanii Tony Blair oznajmił, że bez względu na polityczne motywacje zespołu nie może się doczekać występu legendarnej grupy podczas Live 8. Blair jest zresztą fanem rocka – grywa na gitarze, a przed laty, jeszcze na studiach, był nawet wokalistą¹. Kiedy w prasie pojawia się wzmianka o jego upodobaniach muzycznych, najczęściej opatrzona jest zdjęciem z 1972 roku przedstawiającym młodego, uśmiechniętego

1 Tony Blair we wczesnych latach siedemdziesiątych, podczas studiów na Uniwersytecie Oksfordzkim założył wraz z przyjaciółmi grupę Ugly Rumours. Jej nazwa została zainspirowana okładką albumu *From the Mars Hotel* zespołu Greatful Dead – przyp. red.

i długowłosego Blaira. Gdyby zresztą nie ten uśmiech, przyszły premier mógłby nawet uchodzić za jednego z muzyków Pink Floyd lub, w najgorszym wypadku, za członka ich ekipy technicznej, być może zwolnionego za namolność względem Rogera Watersa.

Czy premier, fan Pink Floyd, zabrał głos w całej aferze podczas Live 8 – tego nie wiemy. Ale po nadzwyczajnym spotkaniu z przedstawicielem policji i zarządcy Parków Królewskich Tessa Jowell zezwala na kontynuowanie imprezy. Mówi się nawet o tym, że ci, którzy zgoda się na nocleg w parku, otrzymają koce. Informacje o możliwości przerwania koncertu zostaną przekazane opinii publicznej dopiero następnego dnia za pośrednictwem prasy. Ale dla każdego, kto choć trochę orientuje się w historii Pink Floyd, zgoda Gilmoura i reszty na pierwszy po latach wspólny występ zakrawa na cud.

Poziom artystyczny Live 8 jest zróżnicowany. Pośród występów znakomitych znalazły się także bardzo przeciętne czy wręcz żenujące – jak zawsze, gdy w jakąś szlachetną sprawę włączają się celebryci. Organizator i pomysłodawca, sir Bob Geldof, zebrał najznakomitsze postaci świata muzyki pop, wykorzystując ten sam argument, który zastosowano w przypadku Live Aid²: każdy, kto odmówi udziału, na zawsze pograży się wizerunkowo. Zgodzili się wystąpić artyści tego formatu co U2, Madonna, sir Elton John, sir Paul McCartney, a także wielu młodszych i mniej popularnych wykonawców. Zasada jest prosta: każdy gra za darmo. Kolejność jest dość przypadkowa – doświadczeni wymieszani z nowicjuszami – choć w miarę rozwoju wydarzeń daje się zauważyć pewną hierarchię.

Pod hasłem Live 8 odbywa się w tym samym czasie dziewięć imprez na całym świecie: między innymi w Rzymie, Berlinie i Filadelfii. Jednak dla wielu przybyłych liczy się tylko jeden koncert – ten londyński. Bob Geldof niechętnie przyznaje: „W Stanach dużo więcej niż o całej imprezie mówi się o tym, czemu zgodził się wystąpić

2 Live Aid – dwa równoległe koncerty rockowe, w Londynie i Filadelfii, które odbyły się 13 lipca 1985 roku. Organizatorami byli Bob Geldof oraz Midge Ure, a przedsięwzięcie miało na celu zebranie funduszy dla głodujących w Etiopii – przyp. red.

zespół, którego członkowie są tak skonfliktowani”. W dniu, w którym zostaje potwierdzona informacja o udziale Pink Floyd w przedsięwzięciu, pojawiają się plotki, jakoby organizatorzy szykowali dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, jeśli tylko zespół zgodzi się pojechać w trasę.

Pink Floyd zaczęli nagrywać płyty w 1967 roku. Sama *Dark Side of the Moon*, wydana w roku 1973, od czasu premiery sprzedawała się w trzydziestu milionach egzemplarzy. Jednak publiczne pranie brudów nieraz przysłaniało dorobek artystyczny zespołu. Minęły ponad dwadzieścia cztery lata, odkąd Gilmour, Wright, Mason i Waters ostatni raz stanęli na scenie w komplecie. W tym czasie trzech pierwsi kontynuowali działalność Pink Floyd, nagrywając kolejne płyty i jeżdżąc w trasy. Roger Waters, basista, ale przede wszystkim najbardziej płodny kompozytor Floydów i podziwiany wizjoner, mówiąc o swoich dawnych kolegach, wściekał się: „Zabrali moje dziecko i sprzedali je do burdelu. Nigdy im tego nie wybaczę”.

Może i nie wybaczył, ale, tak jak trzech pozostali, zgodził się na zawieszenie broni. Pink Floyd nie nagrali nowej płyty od 1994 roku i w normalnych warunkach namawianie muzyków do, jak to określił David Gilmour, „wskrzeszenia tej wielkiej bestii” byłoby karkołomnym wyzwaniem. Jednak moc słusznej sprawy i zręczne szantaże Geldofa sprawiły, że minęły ledwie trzy tygodnie między niechętną zgodą Gilmoura a występem Pink Floyd w Hyde Parku.

O dwudziestej drugiej siedemnaście David Beckham, okrzyknięty największym piłkarzem Wielkiej Brytanii, zapowiada Robbiego Williamsa, uznawanego za największą brytyjską gwiazdę muzyki pop. Głos Williamsa wyraźnie nie jest rozgrzany, ale piosenkarz szybko łapie rytm i wchodzi w rolę – osobliwy miks przystojniaka z boysbandu i kabareciarza. Trudno wyobrazić sobie artystę, który lepiej panowałby nad tłumem niż on.

Nie wróży to zbyt dobrze następnemu wykonawcy, The Who. W 1964 roku perkusista Pink Floyd, Nick Mason, wówczas student

architektury na Regent Street Polytechnic, oglądał The Who wykonujących *My Generation* i doznał objawienia: „Tak, właśnie to chciałbym robić”. Pete Townshend i Roger Daltrey oraz dodatkowi muzycy grający w miejsce dwóch nieżyjących już członków The Who powoli rozgrzewają się przy *Who Are You* i *Won't Get Fooled Again*. Unikają bezpośredniej komunikacji z publicznością; Townshend, w ciemnych okularach, robi to wręcz ostentacyjnie. Występ jest niezwykle sprawny od strony technicznej, momentami da się nawet wyłapać przebliski dawnej świetności The Who, jednak, nim rozkręcą się na dobre – jest już po wszystkim.

Impreza trwa dziesiątą godzinę, a park pogrążony jest w ciemnościach. Ostatnim z występujących ma być Paul McCartney. Zapewne gdzieś na uboczu służby rozpakowują już zamówione przez Tesę Jowell koce dla tych, którzy zdecydują się spędzić noc pod gwiazdami.

O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt siedem, bez hucznych zapowiedzi i uroczystego wstępu, po parku zaczyna rozplýwać się tajemniczy, lecz dobrze znany dźwięk. Wszyscy techniczni, którzy jeszcze chwilę temu byli na scenie, nagle zniknęli. Dźwięk staje się coraz głośniejszy: to miarowe, rytmiczne bicie serca. Światła reflektorów przemykają po publiczności, wielki ekran za sceną ożywa, a bicie serca staje się jeszcze głośniejsze. Następnie słyszymy: „Przez te wszystkie cholerne lata byłem jak wariat”³. To fragment wypowiedzi jednego z technicznych Pink Floyd, nagranej niemal trzydzieści lat wcześniej w studio przy Abbey Road. Po nim następuje złowrogi warkot helikoptera, dźwięk kasy fiskalnej i uporczywy rechot, przechodzący w histeryczny wrzask. To końcówka *Speak To Me*, pierwszego utworu z *Dark Side of the Moon*.

Wrzask się nasila, staje się nie do zniesienia, aż w końcu przechodzi w kojące dźwięki rozpoczynające *Breathe*. Reflektory błedną, a światła zostają zwrócone na scenę – wreszcie możemy przyjrzeć

3 Ang. *I've been mad for fucking years* – przyp. red.

się muzykom. Czarnoksiężnik z Oz żądał, by „nie zwracać uwagi na człowieka za kurtyną”, jednak nie ma tu nikogo więcej. Latająca świnia i widoki z lotu ptaka na Elektrownię Battersea na wielkim ekranie z tyłu sceny to znane Floydowe motywy. Tym razem jednak nie odciągają one uwagi od zespołu. W przeszłości muzycy woleli nie zwracać na siebie uwagi podczas koncertów. Wraz z coraz większymi sukcesami, rosła też scena. Całość zaprojektowana była tak, by możliwie najskuteczniej odwracać uwagę publiczności od czterech przeciętnych, długowłosych muzyków. W 1980 roku Floydzi grali za specjalnie na tę okazję skonstruowaną ścianą; była to część (może nieco zbyt natchnionego) protestu Watersa przeciw odczłowieczeniu przemysłu muzycznego. Gdy Gilmour „wskrzeszał wielką bestię” w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, on, Mason i Wright wspomagani byli przez młodych muzyków sesyjnych, wyginające się chórzystki i sceniczne *show* z oślepiającymi laserami rodem z filmów Stevena Spielberga. Wszystko to miało odwracać uwagę od członków zespołu.

Dziś Pink Floyd także wyglądają zaskakująco zwyczajnie, równie dobrze mogliby uchodzić za biznesmenów po pięćdziesiątce podczas „luźnego piątku” lub kolesi czekających w klubie, aż przestanie padać deszcz, by móc wznowić partyjkę golfa – pomijając oczywiście taki drobiazg, że nikt nie pojawiłby się na polu golfowym w wyblakłych džinsach... Z tyłu sceny Nick Mason wybija rytm; jest skupiony i chyba lekko się uśmiecha. Mason, autor wydanej niewiele wcześniej książki o Pink Floyd, stał się najbardziej otwartym na media członkiem zespołu, choć jego decyzja o pozostaniu w grupie po odejściu Watersa doprowadziła do konfliktu pomiędzy dwojgiem przyjaciół, który został załagodzony dopiero niedawno. To właśnie Mason, jak sam siebie określa, naczelny dyplomata grupy („Jestem Henrym Kissingerem⁴ rocka”, powie później jednemu z dziennikarzy), najbardziej przyczynił

4 Henry Kissinger – amerykański polityk, dyplomata. Otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla w 1973 roku za porozumienie pokojowe z Wietnamem – przyp. red.

się do ponownego zejścia się zespołu. Pomoc, jakiej udzielił w tym względzie Geldofowi, była nie do przecenienia.

W 1966 roku, gdy Pink Floyd podpisali swój pierwszy kontrakt, Mason porzucił studia. Zawsze planował powrót, gdyby czasem granie na perkusji w zespole rockowym nie wypaliło. Trzydzieści lat później nie ma śladu po charakterystycznych dla Masona sumiastych wąsach i długich ciemnych włosach. Gładko ogolony, z lekko obwisłym podbródkiem, z siwymi i gęstymi, lecz obciętymi krótko włosami, sześćdziesięcioletni perkusista przypomina architekta, którym nigdy nie został. Na jego koszuli widać kilka zagięć – znak, że niedawno została wyjęta z opakowania.

Po lewej stronie sceny nad klawiszami pochyla się Richard Wright. Ma na sobie białą koszulę i lnianą marynarkę, a jego niepozorny wygląd i zachowanie sprawiły, że ktoś kiedyś określił go jako „niegdyś wielkiego dżokeja, od którego odwróciło się szczęście”. Wright (który również przez krótki czas studiował architekturę) obecnie przypomina gwiazdę rocka na emeryturze znacznie bardziej niż Mason. Jest wspaniałym muzykiem, jednak jego małomówność sprawiała przez lata, że pozostawał w cieniu pozostałych, obdarzonych silną osobowością członków grupy. W 1979 roku doszło nawet do tego, że Roger Waters wyrzucił go z zespołu, oskarżając o niewystarczające zaangażowanie w pracę nad ostatnią wtedy płytą, *The Wall*. Wright popadł w depresję i zaszył się z dala od ludzi. Tym, który pomógł mu odzyskać dawną pozycję, był David Gilmour.

Gilmour, odziany w wytarte džinsy i czarny T-shirt, patrzy włądco przed siebie. Zawsze wyglądał jak typowy hipis z lat siedemdziesiątych: bosy, wyluzowany, z kosmykiem włosów założonym za ucho, tak by nie opadał na twarz podczas gry – majstrowania przy ustawieniach wzmacniacza lub dociskania pedału z efektem gitarowym. Włosy od dawna nie są już długie, a ich pozostałości zostały wygolone niemal przy samej skórze. Pod T-shirtem rysuje się wyraźny brzuszec. Ale Gilmour zdaje się teraz dużo pewniejszy siebie: dzierżąc gitarę,

zaczyna śpiewać słowa, które napisał jego niegdysiejszy wróg – Roger Waters. Gilmour jest jedynym frontmanem Pink Floyd od połowy lat osiemdziesiątych i głównym obiektem niechęci Watersa. To właśnie Gilmour stał na czele grupy przez ostatnie dwadzieścia lat, to on doprowadził do wydania dwóch płyt, które okryły się platyną, to on dowodził podczas bijących rekordy popularności tras koncertowych. Teraz możemy dostrzec, jak wymienia delikatne uśmiechy z Masonem, jak spogląda w tłum, wypatrując stojących pod sceną żony i dzieci – jego wzrok prawie wcale nie pada jednak na Rogera Watersa.

Basista stoi zaledwie parę metrów dalej. Jego siwiejące włosy sięgają kołnierzyka nieco spranej niebieskiej koszuli. Podwinięte rękawy odsłaniają drogi zapewne zegarek, pobrzękujący z każdym ruchem ręki. Waters nie gra na basie, on go wręcz napastuje. Z charakterystycznie wysuniętym podbródkiem, gwałtownie porusza głową w rytm muzyki i potrząsa swoją gitarą. Często odsłania zęby w uśmiechu, lecz uśmiech ten jest niepokojąco agresywny. Pomimo tego groźnego wyglądu Waters wydaje się być wniebowzięty, że może stać na scenie z tymi samymi ludźmi, z którymi spędził młodość. Inna rzecz, że dwadzieścia lat wcześniej groził im sądem. Dość wymowny jest fakt, że gdy Gilmour śpiewa, Waters robi to samo, choć nie do mikrofonu, tak jakby chciał przypomnieć publiczności, że to są j e g o utwory.

Breathe jest kojącą, spokojną uwerturą. W parku rozbrzmiewa cudowny dźwięk gitary, a nad głowami publiczności pojawiają się płomienie zapalniczek; na twarzach ludzi, którzy spędzili ostatnie dziesięć i pół godziny przyczajeni na strategicznych pozycjach w oczekiwaniu na tę chwilę, widać błogie uśmiechy. Napisany przez trzydziestoletniego wtedy Watersa *Breathe* jest wprowadzeniem do tematyki *Dark Side of the Moon*. Teksty na tej płycie stanowią ponurą analizę lęków i niepewności towarzyszących wkraczaniu w dorosłość, ilustracją tego, że, jak to ujął ich autor, „czekałeś na to, by twoje życie wreszcie się rozpoczęło, by nagle zdać sobie sprawę, że ono już trwa”. To, że słowa *Breathe* wybrzmiewają ponownie ze sceny, że utwór ten

wykonywany przez tych samych ludzi trzydzieści lat później, sprawia, iż przesłanie albumu wydaje się jeszcze bardziej prorocze.

Artyści dziękują publiczności, po czym *Breathe* przechodzi w *Money*, utwór, który był singlem w Stanach i pomógł zespołowi wybić się w Ameryce. W przeciwieństwie do poprzedniego numeru *Money* to głośny i niezwykle dynamiczny hard rock. Jego słowa stały się, zgodnie z przewidywaniami, bronią tych, którym nie w smak był fakt, że muzycy Pink Floyd stali się multimilionerami. Ale tekst ten świetnie pasuje do Live 8 i, jak wyjaśnił później Mason: „Sir Bob chciał, żebyśmy go zagrali”. Dynamika i tempo tego utworu czynią go wręcz idealnym dla imprezy tego formatu. Gilmour niestrudzenie wygrywa swoje solówki aż do momentu, gdy na pierwszy plan wysuwa się saksofon Dicka Parry’ego. Muzyk, który brał udział w nagraniu wersji studyjnej tego utworu, przechadza się teraz po scenie, jakby właśnie przymierzał się do dziewiątego dołka. Gdy kompozycja dobiega końca, Gilmour i Waters nawiązują kontakt wzrokowy. Na ułamek sekundy.

Przed koncertem, na zapleczu Nick Mason powiedział, że na scenie będzie „ponad trzysta lat rockandrollowego doświadczenia”. Tego dnia jednak ważniejsze jest życiowe doświadczenie. Jak ujął to ktoś z otoczenia zespołu, „muzyka Pink Floyd jest jak piękna dziewczyna, która mija cię na ulicy, ale nie masz szans z nią porozmawiać”. W przypadku artystów znanych z chłodnej, angielskiej powściągliwości i niemożności porozumienia się poza artystycznymi ramami ten nagły wybuch spokoju wyeksponował całe człowieczeństwo i ogrom emocji przesycające twórczość Pink Floyd. Nagle wszystko to zaczęło układać się w spójną całość.

W kontekście dzisiejszego występu utwór *Wish You Were Here* brzmi jak prosta pieśń dla przyjaciela, który odszedł. I tym właśnie jest. Gilmour i Waters grają na gitarach akustycznych, a wspomaga ich dobrze znany fanom Tim Renwick, który zazwyczaj pozostaje w cieniu. Waters śpiewa drugą zwrotkę, a jego głos,

w przeciwieństwie do melodyjnego *timbre’u* Gilmoura, jest szorstki i słaby. Utwór, prosty i krótki, publiczność przyjmuje entuzjastycznie. Jego znaczenie i historia są powszechnie znane. To kompozycja poświęcona jednemu członkowi oryginalnego składu Pink Floyd, którego nie ma dziś na scenie.

Na zakończenie dostajemy utwór, który musiał dziś zabrzmieć i którego wszyscy się spodziewali. Niezagraenie go byłoby profanacją. *Comfortably Numb* pochodzi z płyty *The Wall*, opowiadającej zawiłą historię upadku gwiazdy rocka. Ponownie dzieląc obowiązki wokalne, Gilmour i Waters śpiewają o znanym z *The Wall* wypalonym muzyku, zapadającym w narkotykowe otępienie, a następnie Gilmour serwuje nam najważniejszą część utworu – solo gitarowe, które prowadzi aż do wielkiego zwieńczenia w iście hollywoodzkim stylu. Wiele zespołów rockowych próbowało niezdarnie kopiować ten pomysł. To wielki utwór, niezwykle widowiskowy i poruszający do głębi.

Gdy wszyscy czterej muzycy zmierzają na środek sceny, na ich twarzach powaga ustępuje miejsca uśmiechom ulgi. Waters obejmuje Masona i Wrighta i przywołuje gestem nieco zakłopotanego Gilmoura, mówiąc: „No chodź”. Po chwili wahania gitarzysta łączy się z resztą muzyków w grupowym uścisku i Pink Floyd uroczyście kłania się publiczności. Chwilę tę podsumowuje hasło na jednym z transparentów: „Pink Floyd znowu razem! A jednak świnie latają”.

O dwudziestej trzeciej piętnaście sir Paul McCartney wkracza na scenę, by swym występem zamknąć dzisiejszy koncert. Nawet on jednak nie jest w stanie przyćmić tego, co właśnie się wydarzyło. W Stanach mówi się już o lukratywnym kontrakcie obejmującym nagranie nowej płyty Pink Floyd oraz trasę koncertową. Na Wyspach „The Guardian” z pewnym lekceważeniem przyznaje, że choć muzycy „wyglądają jak starsi wspólnicy w korporacji dyplomowanych księgowych... to jednak dwadzieścia cztery lata po ostatnim wspólnym koncercie wciąż brzmią fantastycznie”.